



Piotr Ibrahim Kalwas

Tarika

TARIKA

PIOTR IBRAHIM KALWAS

TARIKA

Ilustracje

Anna M. Koźbiel i Adam Walas



© Copyright by Piotr Ibrahim Kalwas, 2012
© Copyright by wydawnictwo JanKa, 2012
© Copyright by Anna M. Koźbiel, 2012 – ilustracje: s. 21, 47, 231
© Copyright by Adam Walas, 2012 – ilustracje: s. 37, 85, 129, 161, 175

Projekt okładki
Anna M. Koźbiel

Redakcja i korekta
Janina Rogalska-Koźbiel
Jan Koźbiel

Łamanie
MJK

ISBN 978-83-62247-17-2
Wydanie I
Pruszków 2012

Wydawca
JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
www.jankawydawnictwo.pl

*Czy nie chce się pan do nas przyłączyć? – zapytał
mnie niedawno pewien znajomy, gdy siedziałem
sam po północy w pustej już prawie kawiarni.
– Nie, nie chcę – odpowiedziałem.*

Franz Kafka

BRUNO SCHULZ, CZYLI ROZWIĄZŁOŚĆ CZASU

My jesteśmy czasem
Oswald Spengler

Aleksandria, Egipt

Telefon zadzwonił rano. Bardzo wczesnie, przed szóstą. To mordercza pora dla mnie, zazwyczaj spędzam nocę na czytaniu, pisaniu, słuchaniu muzyki i patrzeniu przed siebie, co najbardziej lubię robić, w związku z tym godzina szósta rano jest środkiem mojego sennego niebytu. Prawie całą noc spędziłem na lekturze i rozmyślaniu o „Sklepach cynamonowych” Schulza. Redakcja pewnego polskiego miesięcznika poprosiła mnie o napisanie krótkiego eseju na temat tego niezwykłego dzieła. Czytałem je nie wiem już który raz w życiu i znów, jak za każdym razem, wywołało ono u mnie niezwykle wrażenie mistycznego wręcz i nieopisywalnie genialnego ujęcia istoty smutku.

Terkot telefonu długo zdawał mi się sennym majakiem, samochodowym alarmem za oknem, nierealnością niewartą otwierania oczu. Ale wreszcie dotarło do mnie, że to fakt. Nie wstawałem; zsunąłem się na podłogę z materaca i niczym jakiś średniowieczny pątnik przeturlałem w kąt pokoju, gdzie wciśnięty między regały z książkami stał natrętny aparat. Moje koty patrzyły na mnie z po-
błażaniem.

– Słucham – warknąłem po polsku do słuchawki. Byłem zły na dzwoniącego. Byłem prawie pewien, że to pomyłka, postanowiłem

więc potraktować intruza tajemniczym, obcym słowem, zaskoczyć i spieszyć go. Tak, byłem zły, teraz dopiero zaczęły do mnie docierać jakieś strzępy niepokojącego snu, który został mi brutalnie przerywany. Inspirującego i twórczego, wartego zapisania. Jakieś pole, drzewo, szepty. Ale to wszystko zapewne bezpowrotnie przepadło. Czułem, jak senne marzenie wyfruwa z mojej głowy, rozpraszając się w przestrzeniach pokoju. W słuchawce zabulgotało. Potem usłyszałem kaszel i wreszcie gromki głos:

– Ibrahim!

To był doktor Asad.

No tak, no tak, oczywiście ma dzisiaj wolne i chce się ze mną spotkać w kafejce na dole. Słyszałem jego głos jakby z oddali, jakby dzwonił z daleka. Z bardzo daleka. Chce mi pokazać jakąś starą książkę. Strasznie ważną, niezwykłą, wyjątkową – doktor sypał całym arsenałem eufemicznych angielskich i arabskich przymiotników. Pokrzykiwał do słuchawki, że to wyjątkowa rzecz, niewiarygodna, mistyczna. Zawsze zresztą tak mówi, prawie o każdej książce, którą poddaje naukowemu wertowaniu. Coś jednak dzisiaj dziwnie nalega, wyczuwam podniecenie w jego głosie, nigdy nie dzwonił do mnie o tak wczesnej porze. Doktor Asad jest historykiem uniwersytetu aleksandryjskiego i kilku innych w Egipcie i w Europie, badaczem starych manuskryptów, niezwykłym, zanikającym powoli na całym świecie okazem pasjonata bibliofila. Mieszka dwie ulice dalej, w starej, obdrapanej powłoskiej willi, na której dachu ma ogromny gołębnik. Gołębie to jego druga pasja po książkach. „Doktor Hamama” – Doktor Gołąb – tak o nim żartobliwie mówią mieszkańcy naszej dzielnicy. Czasami ślady gołębiego guana znaczą jego wysokie, pomarszczone czoło i poły znoszonej marynarki. Spotykamy się często w kafejce na rogu, gdzie przy szyszy i kawie prowadzimy wielogodzinne dyskusje o wszystkim i o niczym, czyli o wszystkim. *Salam salam, ya doktor*, okej, ale przecież jest dopiero szósta rano, wszystko zamknięte.

Zgodził się, że o dziewiątej. Może przy okazji podrzuci mi jakiś pomysł na nowe opowiadanie, od tygodnia przymierzam się do tego szczytnego zadania.

No tak, już pewnie nie zasnę. Ale mimo wszystko pełen nadziei przeturlałem się z powrotem na materac. Jeden kot na serce, drugi na głowę. Może jednak, może... zamknąłem oczy... a jednak sen wrócił, zobaczyłem siebie, jak idę przez puste pole w kierunku majaczącego na horyzoncie ogromnego drzewa. Usłyszałem za plecami jakieś szepty i wzdychania, stanąłem i ujrzałem za sobą grupkę zalęknionych kobiet i brodatych mężczyzn, nędźnie odzianych, w długie chałaty, podniszczone, pocerowane suknie, stare, dziurawe buty. Bose, rozczochrane dzieciaki wpatrywały się we mnie ze zdumieniem czarnymi oczami. Długie gile schły im pod nosami. Niektóre twarze zdały mi się znajome, jak tej kobiety, która oderwała się od grupki, podbiegła kilka kroków i stanęła tuż przede mną. Na zniszczonej, popalanej sukience dostrzegłem naszyjnik z koralami i bursztynową broszkę w kształcie pięcioramienną gwiazdy. Kobieta przekrzywiła nieco głowę i cichym głosem powiedziała:

– No, dobrze, że wróciłeś... Piotr, ty się w ogóle nie uczysz, ty nic nie umiesz – mówiła, zaciągając, z wyraźnym rosyjskim akcentem.
– Ty... ty... ty nie zdasz... – Załamała ręce i zaczęła płakać.

Poczułem lęk, straszny, stary lęk.

Potem odwróciłem się i już stałem pod ogromnym drzewem, którego gałęzie zasłaniały niebo, znikwały w chmurach, wgryzały się w przestrzenie. Znowu obejrzałem się za siebie – nikt już za mną nie stał, byłem sam. Wokół wielkich, poskręcanych ze starości korzeni drzewa wałyły się książki. Stare, zbutwiałe księgi. Czuję, że przepełnia mnie ekscytacja; podniosłem jedną z nich, strząsnąłem ziemię z okładki i odczytałem tytuł: „Matematyka dla klas I liceum”. W tej samej chwili robotnicy na budowie obok włączyli swoje pneumatyczne młoty. Otworzyłem oczy i zaspany spojrzałem na leżącą obok materaca komórkę: była punkt ósma.

Jajko na twardo, bagietka z masłem, dwa zimne falafele z poprzedniego dnia, kawa. Włączyłem komputer i wyciągnąłem z regału, na chybił trafił, książkę. Zawsze czytam, kiedy jem. Mój bebech świadczy o mojej erudycji, jak mniemam. *Mystical songs and poems of the medieval al-andalous*, zbiór średniowiecznej

poezji andaluzyjskiej. Pięknie ilustrowana książka, którą niedawno dostałem od przyjaciółki z Nowego Jorku. Mocny zapach kardamonu unosi się nad komputerem. Kartkowałem od niechcienia książkę, przed oczami przesuwały się strofy zapomnianych arabskich i żydowskich wierszy.

Moją uwagę przykuła dziewiętnastowieczna ilustracja przedstawiająca mnicha pochylonego nad pulpitem, na którym leżała gruba księga w brązowych okładkach. Czas zatrzymany tysiąc lat temu gdzieś w Kordobie albo Granadzie. Przypatrywałem się oczom mnicha. Zdawały się pełne zdumienia przemieszanego ze strachem. Na brzegu mnisiego stołu dostrzegłem nieduży czarny punkt. Na początku myślałem, że to buteleczka z inkaustem, wyciągnąłem z szuflady lupę i spojrzałem jeszcze raz na rycinę. Nie, to nie atrament, na brzegu pulpitu średniowiecznego skryby siedział czarny żuk. To było dziwne. Dlaczego andaluzyjski iluminator namalował tego robaka na pulpicie mnicha? Po co?

Poczta, rzut okiem na Egipt State Information Service, potem jeszcze na gazeta.pl, prysznic, ubranie, sandały, kilka drobnych banknotów i już stałem na mojej ulicy. Nad morzem dzieci puszczają latawce. Jaśmin, zapach smażonej szawarmy i zgnilizna buchająca z przeładowanych śmietników. Aleksandria, moje miasto.

Z okna mijającej mnie białej dacji logan dobiegł tęskny, drżący, cudownie kiczowaty głos Julia Iglesiasa.

Witam, pana, panie doktorze, *salam aleikum*. Imbryk herbaty z miętą, prawda? I dwie szisze. Tylko, na Boga, doktorze, przesunijmy stolik bardziej w cień. Oczywiście kapelusze obsrane przez gołębie, jak zwykle. Stare dłonie doktora ściskają jakąś książkę. Już na pierwszy rzut oka widzę, że dużo starszą niż jego ręce. Popękana, skórzana, brązowa okładka, zamazane litery. Słodki dym z sziszy i listki świeżej mięty wystające z dzióbka imbryka. Doktor pochyla się w moją stronę, szepce coś, czego nie rozumiem i dopiero w tej chwili dostrzegam jego oczy. Rozszerzone ze zdumienia, strachu, bezgranicznej bezradności czy przerażonego człowieka. W tym

samym momencie spostrzegam też, że drobne, pokryte pergaminem skóry upstrzonej wątrobianymi plamkami dłoń doktor Asada drżą. Nigdy nie widziałem go w takim stanie.

– Weź, otwórz – mówi – tylko uważaj, bądź uważny, to coś bardzo dziwnego, coś zupełnie niezrozumiałego... Powoli, powoli, Ibrahim...

Uśmiecham się łagodnie i kiwam głową. Ja uwielbiam doktora, ale znam jego wariactwa i dziwactwa. Kiedyś twierdził, że pewna stara księga aramejska wyżera mu w nocy gołębie z gołębnika. Doktor spędza kilkanaście godzin dziennie pochylony nad starymi księgami, to zobowiązuje do pewnej wizji świata. Doktor nazywa to „wizją rybiego oka”. Nad biurkiem w jego niewiarygodnie zawalonym księżkami i śmieciem pokoiku wisi okropne zasuszone oko barweny albo tuńczyka. To naprawdę niezwykły człowiek. O czym jest ta księga, doktorze? Doktor przygryza wargi, wznosi oczy do nieba i nagle zanosi się przeraźliwym kaszlem. Ach, sensat stary. Uwielbiam go. Okej, jeszcze jeden głęboki mach owocowej melasy z sziszy i już pochylałam się nad księgą. Otwieram ostrożnie. Ciężka, kanciasta, popękana skóra bogato zdobionej oprawy miętko układa się w moich dłoniach. Te zdobienia to były przepiękne połączane iluminacje. Zamazane, pościerane, nieostre. Znużone czasem. Przybliżyłem twarz do oprawy i przyjrzałem się baczniej zdobieniom. Pośród misternych splotów łodyg, liści i kwiatów namalowane były dziwne podługowate robaki, odziane w długie szaty. Ich człowieczopodobne głowy ozdobione były czymś na kształt małych czapeczek. Pierwszy raz coś takiego widziałem. Popatrzyłem kątem oka na doktora. Jak on może takie rzeczy przynosić do kafejki? To warte pewno z pół miliona dolarów albo i lepiej. Przydzwigał to w porwanej plastikowej reklamówce z supermarketu. Doktor jest wariatem, jak go przyłapią ci z ministerstwa zażytków, to go w najlepszym wypadku zamkną w szpitalu wariatów. Na środku okładki widniały trzy złotawe, ledwo widoczne napisy. Z trudem odczytałem łaćniński tytuł *Codex abditus speculum nitori* – *Portae abditus califat mirra*; niżej widniały arabskie znaki, potem następowały litery hebrajskie. Przyżółcone, postrzępione strony

z bardzo delikatnego pergaminu, chyba welinu. Otwieram ostrożnie księgę. Sprzedawca gazet macha mi przed nosem świeżym „Al-Ahramem”. Pracownik kafejki Hakam stawia na stoliku malutką metalową cukiernicę. Tak wcześnie, a tak gorąco. Na pierwszej stronie naga kobieta przeglądająca się w lustrze. Na sąsiedniej między ornamentacjami kwietnymi, przeplatanymi zmijami, księżyc i słońce, tuż obok miecz przebijający książkę, a pod nimi, między dwoma drzewami, postać ni to małpy, ni to człowieka z potężną maczugą w dłoni. Wokół monstrum kłębi się tłumek jeszcze potworniejszych stworów, dziwacznych niby-ludzkich kreatur, humanopodobnych istot, faunów o robaczych kształtach, z sześcioma palcami, syren z błyszczącymi ogonami, odpychających potworów przyozdobionych jednym jedynym ogromnym okiem na wygolonych głowach. I dużo znaków, symboli, pojedynczych liter, krótkich słów w różnych, nieznanym mi językach.

Jeszcze słyszę słowa doktora Asada: „Bądź ostrożny, bądź ostrożny”... Klaksony, porykiwania osła, mecz piłkarski z telewizora, gdzieś dzwoni komórka.

W jednej sekundzie ulica zniknęła. Ogarnął mnie BLASK.

Tak, chciałem napisać książkę. Kolejną książkę. No, bo co innego miałem zrobić, skoro kilka lat temu podjąłem decyzję, że będę pisał książki? Stałem godzinami, dniami, tygodniami na balkonie mojego aleksandryjskiego mieszkania i myślałem o niej, o nowej książce. Zawsze to robię, kiedy mam rozpocząć moją podróż ku kolejnej książce. Nie miałem żadnego pomysłu, żadnej idei, żadnego punktu zapalnego. Musiałem więc gdzieś wyjechać, bo zawsze wyjeżdżam, jak mam coś pisać. Nie wiedziałem nawet, gdzie mam wyjechać. Żadna strona świata nie łączyła mi się z żadnym pomysłem. Nic się nie schodziło w całość. Oglądałem filmy, słuchałem muzyki, nurzałem się po prostu w setkach książek tylko po to, żeby trafić wreszcie na jakiś ślad. Szukałem. Mozart, Beethoven, Bach, Schönberg, Coltrane, Fellini, Gombrowicz, Cortázar, Bergman, Wajda, stare roczniki „Perspektyw” i „Panoram”, Kafka, Borges, Sabato, Donoso, Monk, Abba, Połomski, Boulez, Camus,

Lutosławski, Dwa plus Jeden, Chopin, Carpentier. Nawet Wagner załomotał kiedyś nad ranem swoją kolbą w drzwi mojej zmęczonej głowy. Szukałem. Węszyłem. Tropiłem. Zasyślałem z tą książką, śniłem o niej i budziłem się z nią. Rozmawiałem o niej z kotem. Rozmawiałem o niej z pieczonym kurczakiem. Rozmawiałem o niej z lustrem. Wreszcie któregoś dnia wstałem i pojechałem tramwajem do Mahatta Raml, do centrum Aleksandrii, do biura linii lotniczych. Zimowy, ciepły egipski deszcz siąpił i spływał mi po twarzy. Ponagłał. Tam, na szybie tego biura, zobaczyłem nalepioną kartkę z napisem *Casablanca*. I cenę. Niewygórowaną, wręcz bardzo niską, pozasezonową. Trzeba się było tylko pospieszyć. Wszedłem do środka, usiadłem przed panią w eleganckiej garsonce i kupiłem bilet. Casabankę ujrzałem kilka dni później. O zmroku. Boeing Egyptair łagodnie obniżał lot, lekkim półkołem omijając największy minaret świata w meczecie króla Hasana. Miękki, kojący głos stewardesy sączył się z głośników. Po angielsku z arabskim akcentem. Z minaretu promieniował w stronę wschodu laserowy strumień światła. Pulsował, przecinał niebo, błyszczał olśniewającym blaskiem. Cały czas nie miałem żadnego pomysłu na książkę, ale wpatrzony w ten ginący w czeluści niebios strumień zimnego, ostrego światła, wiedziałem, czułem to instynktownie, że to światło, ten wciągający, tajemny blask wyznacza jakąś granicę, za którą kończy się literatura, a zaczyna coś innego, zaczyna się *gharib*¹.

*

Padało. W Maroku była zima. Taka zima niezima, trochę wilgotna, kojąca, podobna do egipskiej. Ciepłe, miękkie krople spływały

¹ Przez *gharib* (dziwiny) rozumie się wszystkie niezwykle, rzadko występujące zjawiska, sprzeczne z przyjętym zwyczajem i zwykłymi obserwacjami, a dokonują się one pod wpływem potężnych duchów, zjawisk niebieskich, jak również czterech elementów (ognia, ziemi, wody i powietrza). Wszystko to z mocy i woli Boga Najwyższego. Należą też do nich cuda proroków, modlitwy wznoszone do Boga, fazy księżyca, rozstąpienie się wód morza oraz zamiana kija w węża (Al-Kazwini, „Kitab 'adā' ib al-machlukat”, tłum. Adam Bieńkiewicz, w: „Starożytność w myśli arabskiej”, Kraków 2003, s. 12).

mi po oczach. Powoli, rysując mokre ślady na czole, zapuszczały mi się do oczu. Widziałem przez to wyraźniej, ostrzej. Widziałem cały plac Dżema el Fna, widziałem dobrze całe miasto, cały zasnuty chmurami i dymami Marakesz. Stałem i patrzyłem. Obrazy przesuwają się powoli przed moimi zakroplonymi oczami, mimo że wszystko przede mną tak naprawdę rozgrywało się o wiele szybciej, bardziej intensywnie, niż to widziały moje zakroplone oczy. Ale ja właśnie widziałem to tak – powoli i wyraźnie. Czasami tak widzę – wolniej, niż się naprawdę dzieje. Tak jest dobrze, bardzo dobrze. Czasami nawet udaje mi się wtedy cofnąć taśmę. Wąsaty mężczyzna stał na głowie, a kilku innych, ubranych w niebieskie szaty i czerwone groteskowe czapki, wirowało wokół niego. Jeszcze kilku innych waliło w bębny zawieszane na ramionach, dęło w długie piszczałki, rytmicznie klaskało. Siadłem przy drewnianym, chybotającym się stole i kupiłem miskę ślimaków. Dziesięć dirhamów. Były słone i przesycone czosnkiem. Wciąż padał deszcz, zakraplał mi oczy. Ocierałem je kantem dłoni unurzanej w ślimakach. Czułem sól w ustach i w oczach. *Mellah* to po arabsku właśnie sól. Myślałem o książce o Maroku. Smażoną oliwą i smażyony czosnek czuć było w powietrzu. I jeszcze snuł się intensywny zapach smażonego mięsa z papryką i kolendrą. Dym. Wszystko powoli. Czułem, jak się powoli uspokajam, wyciszam, nikię w tej smażonej czosnkowej chmurze. Tak, wszystko – zadymione i lekko nieostre – przesuwano się z wolna i jakby od niechcienia przed moimi oczami, trochę niepostrzeżenie. Piłem herbatę. Brodaty starzec, otoczony tłumem gapiów, recytował poezję. Co chwila przerywał, podnosił palec i gromkim, zachrypniętym głosem oświadczał:

– *Ana szir*. Jestem poetą.

Co ja mam napisać? To właśnie? Co?

Wielka jaszczurka na postronku, a na niej siedząca okrakiem mała, rozpaczliwie wrzeszcząca małpka. Jeden z mężczyzn ujmując małpkę delikatnie pod pachami i zdejmując z jaszczurki. Następnie zsuwa z małpy złote spodenki i wyciąga spod nich pampersa ciężkiego od moczu. Potem zakłada nową pieluchę i z powrotem sadza jedno zwierzątko na drugim. Małpa już się śmieje i macha

przyjaźnie do śmiejących się też wokół ludzi. Powoli jedzie na milczącej iguanie, uchylając złotej czapeczki. Brodaty starzec wykrzykuje swoje wiersze, uderzając się dłońmi w pierś. Dudni jego klatka piersiowa, dudnią bębny *gnaoua*, grzmi gdzieś daleko nad miastem, zbiera się na burzę. Środkiem placu Dzema el Fna powoli sunie policyjny radiowóz. No, chyba to jest to, co powinno być, tak? Poeta recytuje wiersze, a deszcz zakrapla słone od ślimaków oczy. Opowiadanie. Książka o Maroku. Obok mnie usiadł młody, śniady chłopak z puszką coca-coli w dłoni. Biały kot wskoczył na stół i otarł się o moje ramię. Chłopak wziął łyk napoju, po czym zwrócił się do mnie z uśmiechem:

– Gdybym powiedział, że ten kot jest tym samym kotem, który bawił się i biegał tysiąc lat temu w Marakeszu, na dworze Almorawidów – a oni uwielbiali koty – to nie dałbyś mi chyba wiary, a przecież głupotą byłoby uważać, że ten kot jest innym kotem niż ten z almorawidzkiego dworu, prawda?

Chłopak przekrzywił głowę i wpatrywał się we mnie z uśmiechem. Był ubrany w sportowy dres reprezentacji Maroka, miał fryzurę w stylu nowojorskich Murzynów z lat siedemdziesiątych, taką czarną funky-kulę. Generalnie typ lekkiego idioty, no, ale przecież, ale przecież, on mówił to, co teraz piszę; to, co teraz czytasz...

– Istota życia kotów zakłada pewną ideę „kociowości”, która w przestrzeni całej wieczności jest jednym, ponadczasowym, nieśmiertelnym, wiecznym kotem... – potrząsał pretensjonalnym złotym zegarkiem podróbką na przegubie ręki pokrytej tatuażami – ...żyjącym w kosmosie i ujawniającym swój byt poprzez nieskończone następstwa pojedynczych kotów, których śmierć i życie wyznaczają rytm nieprzemijającej figury całego Wszechświata. Nieskończone trwanie poprzedza każde narodziny każdego bytu, ożywionego i nieożywionego.

Ślimaki jeden za drugim gładko wślizgiwały się w mój przełyk.

– ...Kim byliśmy przed naszymi narodzinami? Gdzie jest początek tego wszystkiego?

Chłopak pstryknął palcami, zapalił chesterfielda i zakreślił dłońią koło obejmujące plac Dzema el Fna.

– Moglibyśmy chyba powiedzieć, że skoro zawsze byliśmy swoim „ja”, to ci wszyscy ludzie, którzy przez całe wieki mówili i mówią „ja”, zawsze byli i są mną, nieprawdaż? A wszystkie białe koty wymiaukiwały zawsze tylko i wyłącznie tego białego kota...

Marokańczyk ujął delikatnie kota, przytulił do twarzy i pocałował. Jego roześmiane, błyszczące oczy wpatrywały się we mnie intensywnie.

– Nazywam się Idris Masakin, a twoje imię?

Wyciągnął do mnie dłoń. Nie miał serdecznego palca. Na placu pojawiła się grupa otulonych szczelnie w niebieskie zawoje mężczyzn, którzy w takt pulsującej muzyki piszczałek i tamburynów rozbijali stojące przed nimi na ziemi czerwone garnki, z których wysypywał się złoty proszek, rozwiewany przez wiatr po całym placu. W ciągu kilku chwil złota chmura pokryła znaczną część Dżema el Fna. Turyści piszczeli z zachwytu.

– Wiesz, Ibrahim, że niektórzy hinduscy mistycy twierdzą, powtarzając zresztą za greckimi filozofami, którzy wiedzą to od starożytnych Egipcjan, że nie istnieje chwila terazniejsza, w której – popatrzył na mnie – ślimak spływa do twojego żołądka? Ślimak zaraz zleci do żołądka albo już w nim leży. Nie ma chwili, w której spływa.

Stary żebrak o dziwnej twarzy, przypominającej mi wizerunek Światowida, widniejący przed trzydziestu laty na pralce mojej mamy, zatrzymał się przede mną i wyciągnął prosząco dłoń. Był garbaty i wykorzystując swoją ułomność, udawał wielbłąda. Na placu Dżema el Fna wszyscy zarabiają. Owinięty w wielbłądzia skórę, z przyprawionym wielbłądzim ogonem, ze stopami zakończonymi tekturowymi kopytami, nosił na swoim garbie siodło, na którym siedziała wielka niebieska lalka o zakwefionej twarzy i w koronie na głowie.

– *Monsieur...* – zacharczał – *...cinq dirham... cinq dirham... five... funf... hamsa... hamsa..*

– Ibrahim – Idris przysunął do mnie swoją twarz – wiem, że musisz napisać opowiadanie, nową książkę, w związku z tym chciałbym, żebyś poszedł do jednego starego człowieka tu nieda-

leko, za meczetem Nafas Hajjat. On nazywa się Yacoub Lunello; to stary sefardyjczyk, który wygląda jak jeszcze starszy Arab. On ma książkę, która powinna cię zainteresować. Jest w niej historia, jak mi się zdaje, twoja historia, bardzo intymna, bolesna... – Obejmował mnie uważnym spojrzeniem. – Ta historia może przydać się do twojej nowej książki... – Znów chichotał i błyskał bielą zębów. – Popatrz, pójdziesz tam... – Odwrócił się w kierunku starej medyny.

Zabrałem jeden ślimaczy dom na pamiątkę. Jeszcze pachniał ciepłem ugotowanego czarnego, oślizgłego ciała. Wziąłem swój plecak i zanurzyłem się w płataninie wąskich, ciemnych uliczek. W ciągu kilku minut nastąpiło to, co tak lubię i co zawsze musi nastąpić w starej arabskiej medynie – zagubienie. Jak zahipnotyzowany kręciłem się po wąskich uliczkach, raz po raz stając przed ścianami zamykającymi ulice czy zaułki. Nielicznych w tej części miasta przechodniów wypytywałem o meczet Nafas Hajjat. Potrząsali głowami, czasami wprost odmawiali odpowiedzi, pokazywali mi sprzeczne kierunki; kręciłem się bezradnie w tym kamiennym labiryncie, cały mokry od deszczu. To trwało z półtorej godziny, wreszcie zmęczony przysiadłem na chybotliwym krzeselku na małym podwórku, wpatrując się w popękany, stary mur. Deszcz cały czas wpływał mi do oczu. Ściana płaczu po prostu.

Małe drzwiczki, pomalowane niechlujnie na żółty kolor, uchyliły się i wyszedł z nich starszy bosy mężczyzna w niemiłosiernie brudnej, dziurawej galabiji. Spod byle jak zawiązanego na głowie zawoju wystawały kosmyki siwych włosów. Ciężkim krokiem z widocznym trudem przyczłapał do mnie i usiadł obok na odwróconym do góry dnem wiadrze. Czułem na sobie jego wzrok. Kiwnąłem mu głową i uśmiechnąłem się. Zdawało mi się, że odwzajemnił mi się delikatnym skinieniem. Potem przymknął oczy i kiwając się nieznacznie, zaczął coś nucić pod nosem. Dopiero teraz zauważyłem, że trzyma w dłoni małą książeczkę. Pochylił się w moją stronę i zaczął coś szeptać. Nic nie rozumiałem, to był marokański dialekt. Docierały do mnie tylko poszczególne arabskie słowa. Wyławiałem je z bezładnego, chaotycznego, pozbawionego sensu

strumienia mowy starca: *nur, bustan, rijada...* światło, ogród, matematyka, czas, zabijać, śmierć, krew, znowu, teraz, prawda, złe kobiety... Zaczął chichotać, świecąc w półmroku jednym jedynym siekaczem.

– Aha – mówiłem i uśmiechałem się uprzejmie. – Aha, tak, proszę pana, tak...

Potem wyciągnął w moim kierunku rękę z książeczką i delikatnie położył mi ją na kolanach. Stara, porwana, zatłuszczona. Po hebrajsku. Delikatnie odwróciłem okładkę. Na pierwszej stronie zobaczyłem rycinę przedstawiającą kobietę z dzbankiem na głowie, na którym narysowane było rybie oko. Obok kobiety jakaś postać wspinała się po sznurze ku widniejącym w górnej części kartki słońcu i księżycowi. Na stronie obok była rycina przedstawiająca ponure, podłużne kamienne budynki, zwieńczone buchającymi dymem kominami. Wiatr przywiał woń mokrej zgnilizny. Pochyliłem się ponownie nad małą książką Yacouba Lunella i poczułem przez ułamek sekundy, że czas przestał istnieć. Tak, tak, to brzmi naiwnie, ale tak właśnie poczułem i nic więcej nie mogę o tym powiedzieć. Najwyraźniej po tym ułamku sekundy przestałem cokolwiek pamiętać. Wchodziłem powoli w tę małą, porwaną, zniszczoną książkę. Jakby przez białą zasłonę, eteryczną mgławicę ujrzałem ciemne, śmierdzące pleśnią podwórze z tej książki. Wziąłem głęboki oddech i wszedłem w nią, rozmijając się z czasem i przestrzenią, chociaż czułem, że te słowa nie mają żadnej wartości, żadnego zastosowania, żadnego odniesienia. Wszystko było teraz wszystkim i niczym jednocześnie. Blask ogarnął w tym ułamku sekundy całe moje bycie. Już stałem na tym podwórku.

W kącie między tylnymi ścianami szop i przybudówek był zaułek podwórza, najdalsza, ostatnia odnoga, zamknięta między komorę, wychodek i tylną ścian kurnika głucha zatoka, poza którą nie było już wyjścia. Był to najdalszy przylądek, Gibraltar tego podwórza, bijący rozpaczliwie głową w ślepy parkan z poziomych desek, zamykającą i ostateczną ścianę tego świata. Spod jego omszonych dyli wybiegała strużka czarnej, śmierdzącej wody, żyła gnijącego, tłustego błota, nigdy nie wysychająca – jedyna droga, która poprzez granice

parkanu wyprowadzała w świat. Ale rozpacz smrodliwego zaułka tak długo biła głową w tę zaporę, aż rozluźniła jedną z poziomych, potężnych desek. Zbliżyłem się do oślizgłej od pleśni deski i wysunąłem ją z płotu. Zrobiłem wyłom. Stanąwszy nogą na desce, rzuconej jak most przez kałużę, mogłem teraz w poziomej pozycji przecisnąć się przez szparę, która wypuściła mnie w nowy, przewiewny i rozległy świat.

Boże, przecież to słowa Schulza! Dopiero co przeczytałem je w moim aleksandryjskim mieszkaniu! Skąd to się wzięło tutaj? Tutaj, to znaczy gdzie? Gdzie tutaj? W Marakeszu, w książce, którą piszę teraz, czy napiszę w przyszłości? Czy w książce, którą ktoś czyta właśnie? Kto to pisze? Kto to czyta?

Kim jesteś?

Przestań to próbować objąć i zrozumieć, poddaj się temu, daj się ponieść, tak jak ja się poddałem wtedy w Maroku. I zrozum, że słowo „wtedy” nie ma żadnego odniesienia i sensu. Ja nie rozumiem, co piszę. Widzę twarz doktora Musy Asada poplamioną gołębimi odchodami, słyszę jego słowa: „Bądź ostrożny, bądź ostrożny”...

To tylko książka. Tak mi się przynajmniej wydaje.

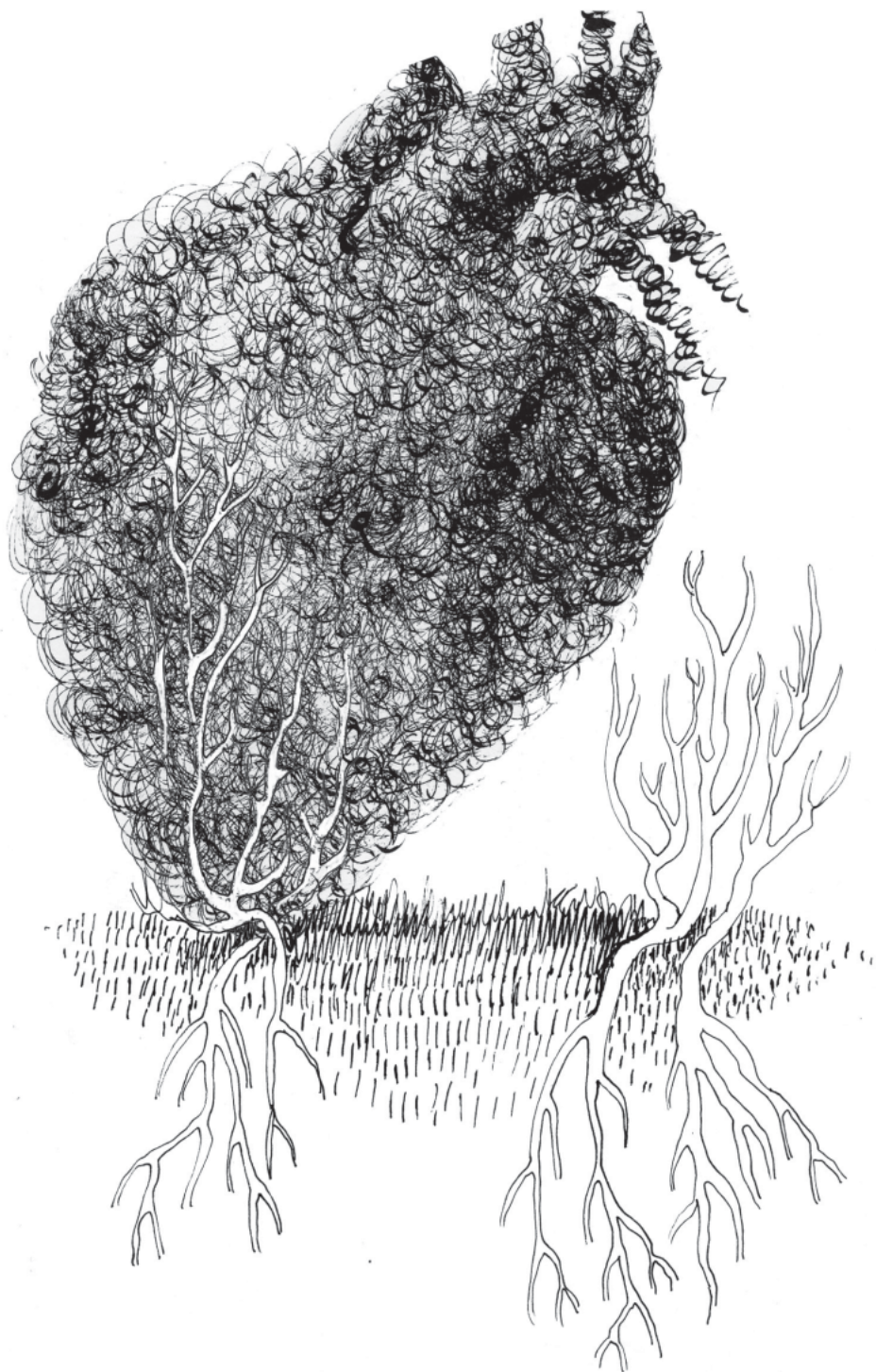
Daleko za sobą słyszałem Marakesz, jeszcze dalej Aleksandrię. Czułem oba te stare miasta. Przeszedłem na drugą stronę. Czułem, że ten, kto napisał tę książkę, ten mały, zgarbiony, o za dużej głowie człowieczek z Drohobycza jest teraz we mnie. Czułem, że boli mnie jeszcze bardziej. Czułem jego ból połączony z moim. To było przerażające, straszne, ale jednocześnie pociągające. Ten ból. Gdzieś na granicy mistyki, na granicy cierpienia i jednocześnie przesywającej całe ciało radości. Te słodko-żrące manowce Drohobycza otwierały powoli przede mną swoje bramy. Słyszałem kaszel doktora Asada, śmiech Idrisa i mruczenie Yacouba Lunella. Kim oni są? *Był tam wielki, zdziczały stary ogród. Wysokie grusze, rozłożyste jabłonie rosły tu w rzadka potężnymi grupami, obsypane srebrnym szelestem, kipiącą siatką białawych połysków. Słyszałem teraz płacz prześladowanych skrzypiec i tęskne głosy dobywające się zza tych grusz i jabłoni.* Kto pisze słowa Schulza? Kto je zapisuje

w przestrzeni tego ukraińskiego podwórka. W przestrzeni Marakeszu, w Aleksandrii...

I nagle usłyszałem muzykę i śpiewy gdzieś, raczej bliżej niż dalej, bardziej tu niż tam. Bardziej w Drohobyczu niż w Marakeszu, ale zdawałem sobie sprawę z rozwiązłości czasu. Ze sprośnej rozwiązłości czasu. Słyszałem narastający śpiew. Znowu to samo, znowu to piękno, znowu ten stary ból. Te same słowa, te słowa właśnie, które kiedyś zapisałem w swojej książce, znowu to, właśnie to:

*Az der rebe zingt Zingn ale khasidim,
Az der rebe tantzt Tantz ale khasidim,
Az der rebe shlof Shlofn ale khasidim,
Az der rebe lakht Lakhn ale khasidim,
Az der rebe est Fresn ale khasidim,
Un az der rebe redt Shvaygn ale khasidim...*

I zawodzenie, łkanie skrzypiec. Jascha Heifetz jakby, ale nie znam się za dobrze na tym. Jeszcze nie odróżniam. Odróżniam już Glenna Goulda, bo on jest bardzo bolesny. Glenn Pięknobolesny Gould. Bujna muzyka. Przesycona rozkoszą i cierpieniem; seksem. *Bujna, zmieszana, nie koszona trawa pokrywała puszystym kożuchem falisty teren. Były tam zwykłe trawiaste żdźbła łąkowe z pierzastymi kitami kłosów; były delikatne filigrany dzikich pietruszek i marchwi; pomarszczone i szorstkie listki bluszczów i ślepych pokrzyw, pachnące miętą; tykowate, błyszczące babki, nakrapiane rdzą, wystrzelające kiśćmi grubej, czerwonej kaszy. Wszystko to, splątane i puszyste, przepojone było łagodnym powietrzem, podbite błękitnym wiatrem i nopuszczone niebem. Schulz, Schulz, Schulz...* Czuję, że właśnie jest ten moment w książce, w którym powinienem położyć się na trawie. Albowiem wiedziałem, czułem to instynktownie, że gdy się leżało w trawie, w tym właśnie miejscu książki tego małego, zgarbionego człowieczka o za dużej głowie, to *było się przykrytym całą błękitną geografią obłoków i płynących kontynentów, oddychało się całą rozległą mapą niebios*. O, właśnie tak jak teraz, dokładnie tak, dokładnie tak jak w jego książce. *Od*



tego obcowania z powietrzem liście i pędy pokryły się delikatnymi włoskami, miękkim nalotem puchu, szorstką szczecinę haczyków, jak gdyby dla chwytania i zatrzymywania przepływów tlenu. Ten nalot delikatny i białawy spokrewniał liście z atmosferą, dawał im srebrzysty, szary połysk fal powietrznych, cienistych zadumań między dwoma błyskami słońca. Teraz długi przeciągły akord Heifetza (niech będzie Jascha Heifetz, okej? Zgadzasz się, ty, który to czytasz? Spękane od starości dłonie Heifetza. Czarny, słodki, gęsty dym z kominów zmontowanych na długich, niskich, kamiennych budynkach. Skrzypce i wybebeszone z dzieci ciężarne kobiety. Uprzednio wielokrotnie zgwałcone. Bełzec. Zgadzasz się?). No, zobacz, jak pięknie brzmi ten akord akompaniujący zwiewnemu, cudownemu lotowi zdmuchniętego mlecza. No, zobacz tylko sam, spisemy go igłą w kąciaku oka, patrz, to Kosmos:

A jedna z tych roślin, żółta i pełna mlecznego soku w bladych łodygach, nadęta powietrzem, pędziła ze swych pustych pędów już samo powietrze, sam puch w kształcie pierzastych kul mleczowych rozsypanych przez powiew i wsiąkających bezgłośnie w błękitną ciszę.

To może być Czajkowski, to może być Wieniawski, to może być nawet Di Grine Kuzine, może być nawet Schönberg, ale ja ten ogród dedykuję Bachowi. Może być? Opowiem o nim trochę później. Już w innej książce, nie w tej. W następnej książce, w następnej. Chociaż co za różnica. Wszystko się miesza, rozplywa, staje się Jednym. Czułem to wyraźnie. Czułem nieokreślone, tajemnicze praświatło. Czułem, że to ja sam i tylko sam jestem czasem. Wszystko było wszystkim i niczym jednocześnie. Blask ogarnął całe moje bycie. Dziś wieczorem pozwolę sobie na tadżin ze śliwkami albo nawet na kuskus z kurczakiem. Poleję wszystko palącą harrisą. Będzie mnie cudownie boleć przełyk.

Ogród był rozległy i rozgałęziony kilku odnogami i miał różne strefy i klimaty. W jednej stronie był otwarty, pełen mleka niebios i powietrza, i tam podścielał niebu co najmiększą, najdelikatniejszą, najpuszystszą zieleń. Ale w miarę jak opadał w głąb długiej odnogi i zanurzał się w cień między tylną ścianą opuszczonej fabryki wody

sodowej, wyraźnie pochmurniał, stawał się opryskliwy i niedbały, zapuszczał się dziko i niechlujnie, srożył się pokrzywami, zjeżał boki, parszywił chwastem wszelkim, aż w samym końcu między ścianami, w szerokiej prostokątnej zatoce tracił wszelką miarę i wpadał w szał.

Kiedy ogród wpada w szał, trzeba być bardzo ostrożnym. Naprawdę nie ma żartów. Trzeba znać parę spraw dotyczących oszalałych ogrodów. Ja się poczuwam już do ich znania, ale i tak jestem niezmiernie ostrożny, kiedy ogród wpada w szał. Kiedy wiele lat temu przeczytałem, że ten mały zgarbiony człowieczek o za dużej głowie w pierwszych zdaniach tej książki, którą właśnie czytasz, napisał, że widział płaty mięsa z klawiaturą żeber cielęcych, to wiedziałem, że muszę być wobec niego bardzo, bardzo ostrożny. Wobec tej jego właśnie poznanej książki. Bo jeżeli nie będę, to ogród wpadnie w szał. A ja jeszcze nie byłem na to przygotowany i mogło to się bardzo źle dla mnie skończyć. Jasha Heifetz i skrzydła dłoni Daniela Barenboima ponad orkiestrą. Szedłem dalej przez tę książkę, przez ten ogród. Szedłem i zaczynałem pisać opowiadanie, a może nawet całą książkę o Maroku. Marakesz był ze mną cały czas. Przypomniałem sobie słowa Idrisa, że nie ma terazniejszości. Schulz pochylał się nade mną i szeptał do ucha: *zagłębiłem się w zieleń tego sadu. Tam to nie był już sad, tylko paroksyzm szaleństwa, wybuch wściekłości, cyniczny bezwstyd i rozpusta. Tam, rozbestwione, dając upust swej pasji, panoszyły się puste, zdziczałe kapusty łopuchów – ogromne wiedzmy, rozdzielające się w biały dzień ze swych szerokich spódnic, zrzucając je z siebie, spódnica za spódnicą, aż ich wzdęte, szelestne, dziurawe łachmany oszalałymi płatami grzebały pod sobą kłótlive to plemię bękarcie. A żarłoczne spódnice puchły i rozpychały się, piętrzyły się jedne na drugich, rozpierały i nakrywały wzajem, rosnąc razem wzdętą masą blach listnych, aż pod niski okap stodoły. Tam to było, gdzie go ujrzał jedyńy raz w życiu, o nieprzytomnej od żaru godzinie południa.*

To można by mieć wyryte na nagrobku, nieprawdaż?

Była to chwila, kiedy czas, oszalały i dziki, wyłamuje się z kieratu zdarzeń i jak zbiegły włóczęga pędzi z krzykiem na przelaj przez

poła. Wtedy lato, pozbawione kontroli, rośnie bez miary i rachuby na całej przestrzeni, rośnie z dzikim impetem na wszystkich punktach, w dwójnasób, w trójnasób, w inny jakiś, wyrodny czas, w nieznaną dymencję, w obłąd. O tej godzinie opanowywał mnie szal łowienia motyli, pasja ścigania tych migocących plamek, tych błędnych białych płatków, trzęsących się w rozognionym powietrzu niedołącznym gzygakiem. I zdarzyło się wówczas, że któraś z tych jaskrawych plamek rozpadła się w locie na dwie, potem na trzy – i ten drgający, oślepiająco biały trójpunkt wiódł mnie, jak błędny ognek, przez szal bodiaków, palących się w słońcu. Dopiero na granicy łąpuchów zatrzymałem się, nie śmiejąc się pogrążyć w to głuche zapadlisko.

Heifetz i jego smutne skrzypce. Słodki, czarny dym z kominów. *Az der rebe zingt Zingn ale khasidim...*

Wtedy nagle ujrzałem dziewczynę. Leżała pośród liści łąpuchów i śmiała się cicho. Ale on nie był delikatny i nieśmiały. On był lubieżny.

A potem ujrzałem tego człowieka

Zanurzony po pachy w łąpuchach, pochylał się nad dziewczyną.

Bruno Schulz podszeptował mi dalej, chichocząc: *Widziałem jego grube bary w brudnej koszuli i niechlujny strzęp surduta. Przyczajony jak do skoku, siedział tak – z barami jakby wielkim ciężarem zgarbionymi. Ciało jego dyszało z natężenia, a z miedzianej, błyszczącej w słońcu twarzy lał się pot. Nieruchomy, zdawał się ciężko pracować, mocować się bez ruchu z jakimś ogromnym brzemieniem.*

Stałem, przygwożdżony jego wzrokiem, który mnie ujął jakby w kleszcze.

On ją brał w posiadanie, prychając i sapiąc. Bolało mnie, bolało mnie, bolało mnie. Czułem, że tutaj nawet Jan Sebastian Bach nie pomoże. Nastąpiłem na jakiś suchy patyk i wtedy mężczyzna odwrócił się w moją stronę.

Była to twarz włóczęgi lub pijaka. Wiecheć brudnych kłaków wicherzył się nad czołem wysokim i wypukłym jak buła kamienna, utoczona przez rzekę. Ale czoło to było skręcone w głębokie bruzdy.

Nie wiadomo, czy ból, czy palący żar słońca, czy nadludzkie napięcie wkręciło się tak w tę twarz i napięło rysy do pęknięcia. Czarne oczy wbiły się we mnie z napięciem najwyższej rozpacz czy bólu. Te oczy patrzyły na mnie i nie patrzyły, widziały mnie i nie widziały wcale. Były to pękające gałki, wyteżone najwyższym uniesieniem bólu albo dziwą rozkoszą natchnienia. I nagle z tych rysów, naciągniętych do pęknięcia, wyboczył się jakiś straszny, załamany cierpieniem grymas i ten grymas rósł, brał w siebie tamten obłęd i natchnienie, pęczniał nim, wybaczał się coraz bardziej, aż wyłamał się ryczącym, charczącym kaszlem śmiechu. Do głębi wstrząśnięty, widziałem, jak hucząc śmiechem z potężnych piersi, dźwignął się powoli z kucek, zapinając spodnie i zgarbiony jak goryl, z rękoma w opadających łachmanach spodni, uciekał, człapiąc przez łopocące blachy łopuchów, wielkimi skokami – Pan bez fletu, cofający się w popłochu do swych ojczystych kniei. A potem z krzaków wyszedł jeszcze jeden, podobny do poprzedniego i zgwałcił dziewczynę po raz drugi. Nie, nie zgwałcił. Ona rozwarła swoje ramiona i nogi i wpuściła go w siebie, wrzeszcząc z dzikiej, oszołomionej seksem radości. Stałem jak skamieniały. Potem i on wstał, odwrócił się w moją stronę, zaśmiał się rehotliwie i plunął mi w twarz. Potem spojrział na leżącą dziewczynę i na nią także splunął. Potem zniknął pośród strasznej, zwariowanej, oszalałej zieleni tego zapleśniałego ogrodu. Podszedłem do leżącej dziewczyny, położyłem się obok niej i przytuliłem głowę do jej piersi. W jej okrągłych niebieskich oczach lśniły łzy. Wtedy ujrzałem na jej brzuchu okrągłą czarną ranę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, kochanie? – szepnąłem.

– Drogi mój, to dla ciebie – poczułem od niej wino – zobacz, jaka piękna książka z tego się rodzi, jak mały słodki, niewinny chłopczyk... jaka piękna, piękna literatura, jak ten bachowski ogród... – odrzekła rozmarzona i stała się nagle bardzo mała, jak lalka z drewna. Zimna, nieżywa lalka. Jascha Heifetz i dłonie Barenboima. Mój ból i mój strach połączyły się z bólem i strachem małego, zgarbionego człowieczka o za dużej głowie, który stał nieśmiało pod płótem i karmił gołębie. Spostrzegł moje spojrzenie i poma-

chał mi delikatnie. Z drewnutni wyszedł człowiek w mundurze i wystrzelił kilkakrotnie w tę brzydką, wodogłowiastą żydowską postać, która w mgnieniu oka zalała się krwią. Marakesz złał się z Drohobyczem, Drohobycz z Aleksandrią...

Odszedłem w kącie ogrodu i pod pięknym, zapewne wiekowym, rozłożystym platanem, zacząłem rzygać. Ale nie, nie rzygałem treścią żołądka, rzygałem ohydnyimi słowami. Z moich ust nie wylatywały resztki pokarmu, tylko ohydny, śmierdzący strumień niewiarygodnych przekleństw i bluzgów w wielu językach. Słyszałem, jak rzygam po polsku, ukraińsku, w jidysz, po niemiecku, rosyjsku. Objąłem pień drzewa i osunąłem się na miękką, soczyście zieloną trawę. Ostatni bluzg powoli spłynął mi po brodzie i wsiąkł w ziemię.

Czasami doświadczam tak cudownych chwil w życiu, że aż chce mi się umrzeć.

W kompletnej ciszy ogrodu stał teraz mały słodki chłopczyk o główce pokrytej szopą zmierzwionych blond loków i dmuchał mleczko. Jeden za drugim. *Kot mył się w słońcu*. Zobaczyłem, że w moją stronę zbliża się kobieta z dzbankiem na głowie, na którym widniało rybie oko. Zdałem sobie sprawę, że drzewo jest tym samym, które widziałem we śnie, tym samym, które widniało na okładce książki wręczonej mi przez doktora Asada. W mojej kieszeni rozległ się dźwięk sygnalizujący przychodzącego esemesa. Spojrzałem na ekranik telefonu. Ambasada Polska informuje, że znajduje się w Rabacie przy rue Oqbah, pod numerem 23. Telefony...

Hitlerowiec spokojnie wycelował we mnie pistolet i nacisnął cyngiel. Huk jego broni złał się z hukiem kolorowych rac, wystrzelianych w powietrze przez tańczących derwiszów na placu Dzema el Fna.

– Ibrahim – Idris przysunął do mnie swoją twarz – chciałbym, żebyś poszedł do jednego starego człowieka, tu niedaleko, za meczetem Nafas Hajjat. On nazywa się Yacoub Lunello, to stary sefardyjczyk, który wygląda jak jeszcze starszy Arab. On ma książkę,

która powinna cię zainteresować. Jest w niej historia, jak mi się zdaje, twoja historia, bardzo intymna, bolesna... – Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. – Ta historia może przydać się do twojej nowej książki... – Znów chichotał i błyskał bielą zębów. Na brzegu stołu dostrzegłem niedużego czarnego żuka. – Popatrz, pójdziesz tam...

SPIS OPOWIADAŃ

Bruno Schulz, czyli rozwiążność czasu	
	7
Warszawa	
	29
Truskawki	
	45
Deszcz	
	55
Lipcowa niedziela	
	103
Rozmowa przed katedrą	
	125
O niczym	
	159
Król much	
	173
Tak, dla wszystkich ten sam ogień	
	181
Europa po deszczu	
	203